Rozmaitości

Dnia 28. Sierpnia Ner. 35. Roku 1841.

ZAMEK PUSTKĄ STOJĄCY.

Piękna jesień roztaczała swoje powaby po czarującéj okolicy, w któréj miasto Kraków z swojémi wieżycami i basztami, jak najpiękniejsze przedstawia się panorama; dwóch wędrowców dążyło do miasta sporym krokiem. Jeden z nich, nazwiskiem Włodzimiérz, biegły lekarz, przystojny młody mężczyzna, stanąwszy przy floryjańskiéj bramie, rzekł do towarzysza: »Jeżeli nie chcesz mnie odprowadzić do mojéj narzeczonéj, i koniecznie zamyślasz dziś odjechać, bądźże mi zdrów Bolesławie, a pamiętaj przyjechać na moje wesele, na trzech króli.«

Drugi zdawał się być zasępiony, uściskał przyjaciela serdecznie i oddalił się z pośpiechem.

Ciekawy jestem, co mu znowu wpadło do głowy, pomyślił sobie Włodzimiérz, zapewne jakieś smutne przeczucie, ale bądź ono mnie się tycze, bądź też jego samego, nie będę w to wchodził.

Téjże saméj chwili panowała wesołość i wielki ruch w okazałym domu pana Czorsztyńskiego, bogatego rajcy i kupca krakowskiego. Byłoto roku 1751.

Widok szczęśliwéj narzeczonéj rozléwa jakiś urok na wszystkie osoby, które ją otaczają, a Wanda była tak miłą i przyjemną narzeczoną, jak sobie tylko wyobrazić można, a przytém pana rajcy jedyne dziecko i piérwsze jego oko w głowie.

W dużéj sali pani Czorsztyńskiéj zebrało się dziś śród żartu i śmiéchu liczne grono pięknych panien, starych ciotek i przyjaciółek, dla przeglądu pysznéj wyprawy panny młodéj i rozprawiania o świetném nadchodzącém weselu. Tak siedząc w około stołu opowiadały sobie różne przygody i krotochwile.

Pan rajca sam nadchodził często do pokoju z bratem swoim, a opiekunem narzeczonego. Lecz nie dość na tém, obadwaj ci panowie przymuszeni od ciotek, musieli także usiąść przy stole i razem z niémi słuchać krotochwil i pochwalać rozmaite materyje i weselne przybory.

Nagle otworzyły się drzwi, a śród radości całego zgromadzenia wszedł Włodzimiérz do pokoju; z poszeptem i umizgiem zajął miejsce obok narzeczonéj, która z serdeczną czułością wzrok swój utopiła w oku kochanka.

»Spodziéwałam się ciebie wcześniéj«, rzekła Wanda pocichu.

»Przebacz mi«, odrzekł Włodzimiérz, »musiałem jeszcze odwiédzić kilku chorych, a potém chcąc zażyć świéżego powietrza, poszedłem na przechadzkę ku Wiśle. Tam spotkałem się z Bolesławem, zajęci rozmową, zaszliśmy aż przed ów pusty zamek; rzecz dziwna, żeśmy w nim przez okna palące się świéce spostrzegli.«

»Odpuść nam grzéchy nasze!« zawołała pani Brzymilską, wdowa po podsędku a krewna Czorsztyńskiego, »palące się świéce w pustym zamku? O, niechże nas Pan Bóg weźmie w swą świętą opiekę, albo raczéj was, młode panienki i wszystkich kawalerów naszego miasta!«

Młode niewiasty nalégały na panią Brzymilskę, aby im opowiedziała, co oznacza ten przestrach, i dla czego każdy od tego pustego

zamku, chociaż jest piękny i mieszkalny, tak troskliwie unika i stroni.

»A jednak«, dodała jedna z młodych panien, »przyznam się, iż nie znam piękniejszego miejsca, jak ogród tego zamku; z ciekawości weszłam do niego raz przeszłego łata, i dziwnie podobały mi się starémi lipami i gęstą grabiną wysadzane ulice. Po środku kwitnęły róże i goździki, błękitny powój i bluszcz wiły się w około drzew owocowych. Na końcu ogrodu, o kilka staj od zamku spostrzegłam także oranżeryję z roślinami rzadkiémi. Za sztakietami widziałam dojrzałe ananasy, melony a nawet winogrona, i gdyby fórtka nie była zamkniętą, byłabym się chętnie z blizka im przypatrzyła.«

»Niech cię tam więcéj wstępować nie korci Heleno!« rzekła z przestrogą szanowna ciotunia Brzymilska, »ja nie dowiérzam nawet staremu ogrodnikowi, który tam od dawna mieszka i dość poczciwie wygląda — i powiadam ci, — strzeżonego Pan Bóg strzeże!«

»Prawdażto wujaszku?« zapytała Helena pana Czorsztyńskiego z uśmiéchem, »że w tym zamku jakieś złe duchy mieszkają, albo może ciocia Kunegunda tylko mnie przestraszyć zamyśla?«

»Dawniéj opowiadano o tém różne historyje«, odrzekł pan Czorsztyński, pogłaskawszy się po łysinie, »z tém wszystkiém dla żadnéj panny nie przystoi przechadzać się po oddalonym, nieznanym jéj ogrodzie.«

Piękna Helena zarumieniła się na tę przemówkę, a Włodzimiérz rzekł: »Chociaż ja tym baśniom *à la* Twardowski, wcale nie wierzę, jednakże radbym je usłyszał; dla tego imieniem wszystkich proszę ciotuni, abyś je nam opowiedziała.«

»O, takiemu paniczowi jak waszmość, który się po Francyi i Włoszech rozmaitym cudom przyglądnął i wiele mądrości w głowę nabrał, trudno w co uwierzyć, ale to nie są baśnie panie Włodzimiérzu!« rzekła pani Brzymilska, zażywszy holenderki ze skórzanéj tabakiereczki, »to jest szczéra prawda; przed pięćdziesiąt laty, gdyście jeszcze wszyscy jak tu jesteście, dziećmi byli, a może was nawet i na świecie nie było, zdarzyło się że — lecz nie, zacznę z początku. — Świętéj pamięci prababka moja, którąm jeszcze zapamiętała, miała lat dziesięć, gdy ten zamek, będący podówczas własnością pana Burzywoja, starosty na Stradomiu — jakoż nawet podziś dzień do naszego miasta nie należy, chociaż tak blizko niego jest położony — sprzedano pewnemu młodemu człowiekowi, nazwiskiem Gwiezdzilickiemu, który długo bawił w Hiszpanii, a którego zachowanie się, pańska mina i bogactwo okazywały dostatecznie, że był znacznego urodzenia.«

»Prababka moja — niech jéj Bóg świéci! wspominała nieraz, że pan Gwiezdzilicki niewymownie był pięknym mężczyzną, czarne oko jego miało w sobie jakąś czarodziejską siłę i jednało mu wszystkich serca, chociaż w poblizkości jego jakiś potajemny strach zbiérał.«

»Ten tedy pan Gwiezdzilicki kazał bardzo pięknie ozdobić zamek, poczém sprowadził młodą, prześliczną damę, swą małżonkę.«

»Miłowida, tak się zwała ta dama, zdawała się być istotą wysokiego urodzenia, była delikatną, ujmującą, rzadkiéj piękności. Jéj miękkie w pierścienie wijące się włosy, osłaniały jak cienki złoty welon jéj głowę, w jasno-błękitnych oczach jéj zdawało się odbijać lazurowe niebo, a dźwięcznym głosem swoim zniewalała każdą osobę, do któréj tylko przemówiła.«

»W całéj okolicy nie było piękniejszego i bardziéj kochającego się małżeństwa, jak pan Gwiezdzilicki i Miłowida. Gdy czasem obok niéj konno przez miasto jechał, z jakąż troskliwością nie uważał na stęp jéj rumaka, a na wszystkich festynach, na których się znajdowała, pan Gwiezdzilicki nie był jéj mężem, ale kawalerem, a Miłowida była jego damą, która każdéj chwili z pokorną, tkliwą miłością, nie zwracała z niego swego spojrzenia. Atoli z niczém nie dały się porównywać festyny, które w swym zamku wyprawiali.«

»Jednakże niedługim czasem spostrzeżono, że jakiś inny duch wstąpił w serce pana zamku; sam jeden uganiał się po ulicach Krakowa na rumaku, kłaniał się każdéj pięknéj damie i występował często bez Miłowidy na świetne bankiety, które pod ówczas w naszém bogatém mieście dawano. — Pan Gwiezdzilicki starający się gorliwie o

zjednanie sobie dam pięknych, podbił wkrótce ich serca, żadna spokojność domowa, odpuść grzéchy, nie była dla niego świętą, żadna myśl o żonie nie zdawała się obudzać w jego duszy.«

Nie dziw tedy, że piękna Miłowida pobladła na twarzy i często płakała; nieraz widziano ją chodzącą po ogrodzie z załamanémi rękami.«

»Długo ukrywała żal swój przed małżonkiem, w nadziei, że się upamięta i poprawi, że się do niéj znowu z małżeńską, chrześcijańską miłością nawróci; lecz gdy dzień za dniem mijał, a przeniewierca nietylko że ją zaniedbywał, ale zaczął nawet stronić od małżonki, wtedy powstała w niéj duma niewieścia, otarła łzy z oczu, przywdziała kosztowne szaty, przystroiła się w złoto i śrébro, i wystąpiła znowu wesoło i spaniale jakby królowa jaka.«

»Zamiast Gwiezdzilickiego towarzyszył jéj przyjaciel i przyboczny lékarz małżonka. Młodzi kawalerowie, którzy piérwéj tylko z trwożliwém uszanowaniem otaczali tę piękną damę, zaczęli około niéj nadskakiwać w nadziei pozyskania jéj serca.«

»Jednakże widać było, iż żaden z nich nie mógł się poszczycić jéj względami i nieraz błysnęła okiem pogardy na kawalerów, a na męża z żałością.«

»Nareszcie powiła bliźnięta, jednakże na ściśniętych jéj ustach nie widać było lubego macierzyńskiego uśmiéchu. Synek mający ojca nazwisko, był zupełnie do niego podobny; córeczka także Miłowidą zwana, miała złote włosy, i bardzo piękną uroczą twarz matki.«

»Gdy Gwiezdzilicki jednego ranka powróciwszy z festynu wszedł do ogrodu, zastał Miłowidę zasmuconą w altanie.«

»Dawno już nie widzieli się z sobą małżonkowie; Miłowida zbladła, Gwiezdzilickiego zczerwieniło się lice, a uznając się być winnym, rzekł: »Jakkolwiek możesz być na mnie zagniewaną, jednakże spodziéwam się, żeś mi wierności dochowała, — ach, przebacz Miłowido!« i z niewymowną tkliwością dodał: »Nie kochaszże mnie już Miłowido?«

»Słowa te przeniknęły do żywego jéj serce, jednakże ukryła boleść i z oziębłością odrzekła: »Nie kocham! — Pozwól mi wziąć córeczkę i oddalić się od ciebie w świat daleki.« — Gwiezdzilicki pobladł, zaciął swe wzruszenie, i zezwolił na to tylko skinieniem głowy; zadumany patrzył długo za Miłowidą, która śpiesznym krokiem od niego odeszła. — Na drugi dzień zniknęła Miłowida, ale z oddaleniem się nie wróciła spokojność do zranionego jéj serca. Wiedziała, że małżonek sprzeniewierzył się, i już nie mogła ufać miłości jego.«

»Pan Gwiezdzilicki usunął się całkiem do swego zamku i oddąd już nie widziała go żadna z niewiast, którym piérwéj miłość i przywiązanie swoje oświadczał, ani żaden z mężów, któremu szczęście i spokojność domową zaburzył. W cichości wychowywał syna, który piękne okazywał zdolności. Już w samym początku zaszczepił w nim wzgardę ku niewieściéj miłości, a jadowite ziarno wydało plon bujny.«

»Po upływie lat kilkunastu przybyła do zamku spaniała, zawsze jeszcze piękna dama z prześliczną ośmnasto-letnią dziewicą. W milczeniu postępowała po kwitnącym ogrodzie i zadumana zatrzymała się przed altaną; pan Gwiezdzilicki blady, lecz zawsze jeszcze przystojny mężczyzna, wyszedł na przeciw niéj razem z młodzieńcem.«

»Pan Gwiezdzilicki chciał uściskać córkę; ale córka rzekła z wzdrygnieniem: »Matko, wszak to mężczyzna! Nieprzyjaciel najświętszych uczuć płci naszéj!« A syn zwróciwszy się do matki z gorżkim uśmiéchem rzekł: »Nie jestżeś ty niewiastą?«

»Jak trup blady cofnął się ojciec od córki, boleścią przenikniona stała matka przed synem.«

»Jakby na skrzydłach wichru wybiegła z ogrodu, a za nią jéj małżonek; chwilę zatrzymała się nad brzegiem Wisły, poczém zasłoniwszy sobie twarz welonem skoczyła w rozbujałe nurty. A mąż wykrzyknąwszy żałośnym jękiem: »O Miłowido, toż na to dumą i zuchwałością skrwawiłem serce twoje, abyś tak okropną śmiercią zginęła?« rzucił się piorunem za nią w rzékę.

Wisła ich nie wróciła. Ciał ich nie znaleziono, lecz blade cienie ich przemykały o północy około opuszczonego zamku i przestrachem wygnały z niego piękne, nieprzyjazne rodzeństwo.«

»Odtąd nikt nie chciał mieszkać w zamku, wszyscy słudzy wynieśli się z niego, pozostał tylko stary ogrodnik z żoną i synem i zajmował się wiernie pielęgnowaniem ogrodu.«

»Po kilku leciech znowu powróciło do zamku rodzeństwo, byli oni już zaślubieni, ale idąc za przykładem rodziców, dręczyły się nawzajem kochające ich serca. Jako nieprzyjaciele unikali się brat i siostra, i tylko wtedy wspiérali się wzajemnie, gdy im chodziło o zniszczenie serca trzeciego. Nienawiścią ścigani, porzucili nareszcie zamek, który długo stał pustką, pokąd nareszcie znowu jeden z ich potomków się nie pojawił, ten przywiózł z sobą znowu zniszczenie, a przecież nikt go nie mógł ukarać za jego czyny, bo dręczenie serca nie należy pod sąd sprawiedliwości. Poźniéj wyjechał znowu w podróż, i znowu zamek stał pustką; wnuk starego ogrodnika chodził około ogrodu, a syn jego pomagał mu w téj pracy. Aż oto — będzie temu niemal lat czterdzieści, zjechało znowu rodzeństwo z potomków Gwiezdzilickiego. Ludzi ogarnęła trwoga, rodzice ukrywali swe dzieci, małżonkowie strzegli jedno drugiego i na przestrogę opowiadali sobie dawny wypadek. Jakoż rodzeństwo to żyło bardzo spokojnie, i nikt go nie widywał, jeden tylko ogród był piękniéj ozdobiony niż przedtém, — ta była tylko jedna odmiana, którą spostrzeżono za ich przybyciem. Jakoż o tém rodzeństwie nic więcéj nie opowiadają, jak tylko to, że jedna z najpiękniejszych dziewic naszego miasta w dzień ich wesela w Wisłę skoczyła, jak mówią z potajemnéj miłości ku właścicielowi tego pustego zamku i że wkrótce potém najpiękniejszy młodzieniec z Krakowa gdzieś zniknął razem z tém rodzeństwem.«

»Odtąd długo, bardzo długo stał zamek pustką, i spodziéwano się powszechnie, że cienie samobójców już się uspokoiły, aż oto teraz wspomniałeś panie Włodzimiérzu, żeś widział światła w tym pustym zamku; dla tego jeszcze raz wam powtarzam, niech was Bóg ma w swojéj opiece, moje kochane dziatki!«

»Dowcipna bajeczka«, rzekł Włodzimiérz, »walka pomiędzy dwoma rodzajami, która trwa nieprzerwanie i tak długo trwać będzie jak nasza ziemia. I nie jestżeto rzeczą zwyczajną, że mężczyzna i niewiasta, jak dwa magnetyczne kresy, wiecznie szukają się i unikają, kochają i nienawidzą, poprawiają i psują bez ustanku? Być może, że jest cokolwiek prawdy w śmierci pięknéj dziéwicy i w zniknieniu młodzieńca, a chęć powszechna upiększenia każdego prostego wypadku resztę dodała.«

Pani Brzymilska i drugie stare ciotki przezywały Włodzimiérza bezbożnikiem, a młode dziéwczęta wspiérane przez opiekuna, który żartować lubił, straszyły się nawzajem. Jednakże ucichły wszystkie żarty, gdy ciotka z powagą rzekła: »A gdyby też opowiadanie moje nie było zmyśleniem, gdyby złośliwy duch tego pustego zamku któremu z was boleśnie zranił serce?«

Na te słowa Wanda spojrzała łagodnie na Włodzimiérza i podawszy mu rękę, rzekła z uśmiéchem: »Szczęśliwi ci, którzy wcześnie znaleźli wierne serce, do którego stale są przywiązani, ci nie znają żadnéj obawy, i dla tego my jéj znać nie będziem', nieprawdaż kochany Włodzimiérzu?«

Włodzimiérz przycisnął czule narzeczoną do swego serca. Pani Czorsztyńska tknięta smutném przeczuciem, chcąc weselszą wszcząć pogadankę, siliła się na opowiadanie historyjki zabawnéj, mężczyźni zaczęli się śmiać i żartować; nareszcie dano kolacyję, przyszło kilku sąsiadów i przyjaciół; tym sposobem na tańcach i innych wesołych zabawach towarzystwo wieczór spędziło.

* * *

W kilka dni po upływie tego wesołego wieczora, słońce roztoczyło ciepłe swoje promienie, a jesienna zieloność i czerwone na drzewie liście, przed nadejściem zimy sprawiały widok bardzo przyjemny.

Wanda w towarzystwie dwóch poufnych przyjaciółek zamyśliła z swym narzeczonym przejechać się w około miasta, ale że tegoż wezwano do jakiegoś niebezpiecznie chorego, przeto dziewczęta wsiadłszy do powozu, same się na przejazdkę udały. Wysiadłszy nad Wisłą, puściły się pieszo. Nikt ich nie zdybał na drodze, a Helena i Agniészka nie miały nic przeciwko temu, że Wanda jakby przypadkiem ku pustemu zamkowi zboczyła.

Rzecz naturalna, iż się wszczęła rozmowa o pustym zamku, a Wanda ukrywając swój udział w opowiadaniu ciotki, zapytała: »Czy wierzycie temu kochane przyjaciółki, co ciotka opowiadała, i o czém ona tak mocno zda się być przekonaną?«

Spokojna, mało-mowna Agniészka odrzekła zwolna: »Ja nie wierzę jak tylko temu, o czém niezbite mam dowody, i nic nie zaprzeczam, przeciw czemu ważnych dowodów przytoczyć nie mogę.«

Helena przeżegnawszy się rzekła: »Ja wierzę temu i za nic w świecie nie poszłabym do tego ogrodu.«

»Widzicie, ja mam większą niż wy odwagę!« odrzekła Wanda, gdy się do ogrodu zbliżyli, »i dla tego wstąpię do niego. Jako narzeczona,

mam już niejakie prawo małżonki, a pamięć o moim narzeczonym zasłania mnie od wszelkich czarów Twardowskiego.«

»Przebóg! co czynisz!« wykrzyknęła Helena gdy już Wanda otworzyła fórtkę ogrodową, ale narzeczona była już za progiem w grodzie, a obiedwie przyjaciółki przed fórtką pozostały.

Zwolna szła Wanda przez długo-ciągnące się ulice; ogród ten miał jakiś sobie właściwy, posępny urok; chodniki zasklepiły się żółtém i czerwoném liściem, wszędzie kwitły bujno w koszach georginije, jesienne astry i purpurowe pelargonije. W około panowała samotna cisza. Wanda zanurzona w słodkiém i romantyczném dumaniu, idąc coraz daléj, zapomniała o czekających na nią przyjaciółkach. Teraz stanęła przed spaniałą roślinarnią, jakaś tajemna władza wstrzymała ją na tém miejscu; ale rozkoszne, prześliczne kwiaty, złote cytryny i pomarańcze wabiły tak ponętnie, iż chociaż z biciem serca, nie mogła nie wejść do tego woniejącego zimowego ogrodu.

Już przeszło godzinę czekały trwożliwie Agniészka i Helena na przyjaciółkę, już kilkakrotnie zabiérały się wrócić do miasta, ale niespokojność wstrzymywała ich kroki. Agniészka cieszyła drżącą Helenę, która chciała już prosić przechodzących, aby z nią do ogrodu weszli. Nawet odważna Agniészka była niespokojniejszą niż się zdawała.

Nakoniec wróciła Wanda z ogrodu, w lewéj ręce trzymała zielony wieniec, a u piersi miała jakiś kwiat prześliczny, ale nieznany. Na twarzy jéj jaśniał osobliwszy wyraz radości. Zatopiona w głębokie dumanie, bez uwagi odpowiadała na zapytania swych przyjaciółek, a rozstając się z niémi, zaklinała je, aby przed nikim nie wspominały, że zwidziła ogród pustego zamku. — Helena i Agniészka przyrzekły, że nie wspomną.

(Dokończenie nastąpi.)

NIECO O CZUWASZACH I CZEREMISACH W GUBERNII KAZAŃSKIEJ,

z rossyjskiéj *Biblioteki dlia cztenija*, z miesiąca stycznia 1841, a raczéj z dziennika pani Aleksandry Fuks, w Kazaniu 1840 r. wydanego.

Bojaźliwość i zabobon, są to odszczególniające się rysy charakterystyczne narodu Czuwaszów: przyjechawszy do wsi, możesz zażądać czego zachcesz, Czuwasz drżąc od strachu wszystko ci oddać gotów. Gdy chléb pieką, bezprzestannie zaglądają do pieca, a jeżeli na którymkolwiek pryśnie lub wzniesie się skórka, natychmiast wyrzucają go w wądoł. Jeżeli Czuwasz napije się wody z strumienia lub studni, a zaboli go cokolwiek, bieży zaraz do domu, bierze pieniądz, chléb, jaja, niesie i rzuca do studni, z któréj pił. Pani Fuks szczególniéj dziwiła się lekkim połogom Czuwaszek i sile, którą po połogu mają. Téjże saméj chwili, idą same palić w piecu, w łaźni, warzą piwo i biorą się do najcięższéj pracy. Zdaje się, że Czuwaszki po Angielkach na całéj kuli ziemskiéj najwięcéj mają bielizny. Porządna czuwaszka niewiasta bierze na wyprawę sto koszul w kształcie *trousseau*. Gdy się młocka po żniwach zakończy, w każdym domu roszczą słód, warzą piwo, pieką chléb i jeden dzień nic nie jedzą: dzień ten przeznaczony na modlitwy. Cała rodzina schodzi się do najstarszego w familii, przybywa *Jumsa* (czarnoksiężnik, kapłan) i każdéj osobie przeznacza jedno bóstwo, do którego modlić się ma. Jednemu głównego boga (*Tora*), innemu matkę tegoż boga, innemu jego syna, bożka leśnego, podróżnych, bydlęcego, słońce lub matkę słońca. Na ówczas otworzywszy drzwi wszyscy obracają się twarzą ku wschodowi, a tak nawet domy ich obrócone, i zaczynają modlitwy. Potém synowie krają nowy chléb w małe kromki, a żony i córki kłaniając się nizko, podają go starszym mówiąc: »Prosimy *Tora* ażebyście żyli i zdrowi byli, i ażebyśmy na przyszły rok znowu nowe zboże młócić mogli.« W końcu rozpoczynają się pląsy. Czuwaszowie szczególniéj oddają cześć bożyszczu zbożnemu *Jerkulijo*, którego świątynia powszechnie bywa w jakimkolwiek szpichlérzu, czyli magazynie zbożowym. Przeszłego roku kapłan jednéj wioski rozgniewawszy się na zabobonność swych parafijan, rozkazał sprzedać dwa szpichlérze z *Jerkulijami*. Rozbiérając jeden, ruski włościanin, który je zakupił znalazł w szparach i węgłach około piętnastu rubli drobnéj monety, którą Czuwasze na ofiarę przynosili. »Nawet i teraz« pisze autorka, »przyjeżdża wielu Czuwaszów chrzczonych i niechrzczonych do tego chłopa, i kładą pieniądze w węgły jego szpichlérza, a niedawno wpuścili tam kurę i kaczkę na ofiarę.« — Starożytny dla antykwaryjuszów tyle pożyteczny zwyczaj zakopywania z umarłym razem do grobu ulubionych przez niego rzeczy, zachowuje się między Czuwaszami w odwiecznéj prostocie. Jeżeli kto umrze, natychmiast wynoszą ciało jego na dwór, obmywają, ubiérają w świąteczną odzież, kładą do trunny, i na powrót do izby wnoszą, gdzie tając się przed duchowieństwem, składają przy trupie to wszystko, co mu za życia było potrzebném. Jeżeli nieboszczyk był rękodzielnikiem, umiészczają przy nim jego narzędzia, kobiéty zmarłe i dziewice opatrują w to wszystko,

co im do ręcznéj pracy było użyteczne: płótnem, jedwabiem i igłami tę, która pięknie szyła i wyszywała, przęślicą i kądzielą tę, która się swą przędzą wsławiła, i tak daléj: wszystkim zaś w ogólności dają pieniądze na drobne wydatki. Z tego wydarzają się częstokroć zabawne wypadki. W pewnéj bogatéj rodzinie umarł ojciec; pogrzébano go z wszelkiémi obrzędami i do trunny włożono sto rubli. Dowiedziawszy się oszuści, że z Czuwaszem znaczne pieniądze zagrzebano, odkopali grób, trunnę otworzyli, pieniądze zabrali, a posadziwszy zmarłego w grobie, w jednę rękę włożyli mu karty a w drugą flaszę wina. Zrobiwszy to, donieśli familii, że nieboszczyk prowadzi w grobie rozwiozłe życie, w karty gra i szalenie się zapija. — Czuwasze udali się na cmentarz i w rzeczy saméj znaleźli zmarłego z kartami w ręku i winem, pieniędzy nie było przy nim ani grosza, a tak rzecz oczywista, że cały swój kapitał przegrał i przepił. — Prosila go familija i zaklinała, ażeby zaniechał nieporządnego życia, i przystojnie się sprawował, włożyli mu powtórnie nieco pieniędzy i zagrzebali. Oszuści nie zaniedbali korzystać z ich dobroduszności, znowu grób otworzyli, pieniądze zabrali i rodzinę uwiadomili, że nieboszczyk nie przestaje pić i szulerować; byli oni przekonani, że Czuwasze zawsze będą opatrywać zmarłego pieniądzmi, lécz ci obyczajni i prostoduszni znowu przyszedłszy na cmentarz i zastawszy znowu zmarłego z kartami i z winem, rozciągnęli go na ziemi i wysiekli kańczukiem za rozpustne życie po śmierci. Ukarawszy tym sposobem nieboszczyka na przykład dla wszystkich jego towarzyszów, pogrzebali go po trzeci raz, lecz już bez pieniędzy, i odtąd tenże zachował się przyzwoicie i uczciwie.

Daléj opisuje autorka język i poezyję Czuwaszów i przywodzi przykłady tak w oryginalnym języku, jako i w ruskiém tłumaczeniu. Pieśni ich mają wiele podobieństwa do śpiewów pospolitego ludu sławiańskiego. Obrazy brane z natury, i tak jedna piosnka zaczyna się:

Na jodełce kuje kukułeczka,
W życie w polu krzyczy przepióreczka;
Na czeremchy krzaku słowik świszcze,
Dla czegoż nie śpiewasz dziewczę? i t. d.

Jumza czyli *Jumsa* jest razem czarodziejem, kapłanem i lékarzem. Zdaje się, że Czuwasze mają osobnego boga medycyny, który pod swą protekcyją ma lékarzy, i do którego chorzy się modlą. Zowie się on: »*Irich.*« Wyobrażenie jego ulane z cyny w postaci maleńkiego bałwanka, wysokości szesnastéj części arszyna (werszok) z rękami, nogami i oczami. Wieszają go w chatach na jarzębowéj gałązce, którą co dziewięć lat zmieniają. *Irichowi* niosą na ofiarę kisiel i prasne nalestniki, modląc się gdy kogo bolą oczy, zęby, lub gdy się pokaże ospa, wrzody i t. p. — Antorka rozmawiała bardzo wiele z *Jumzami*, i starała się wybadać to wszystko, cokolwiek się ściąga do ich wiary i zarobkowania. — Codzienna prosta, szlachetna a nawet poruszająca modlitwa Czuwaszów, która zawiéra wszystkie potrzeby i pojęcia o szczęściu tego ludu, jest następująca po czuwasku i w przekładzie:

Tora sirłach!	Tora zmiłuj się!
Tora an brach!	Tora nie opuszczaj!
Siuldi Tora!	Najwyższy Tora!
Sirłach sirdi Padsza	Zbaw ziemskiego Cara
Gwołdan, chyrdan	Synów, córki!
Tyreran pyłran	Chleba, miodu
Tora badyr	Tora daj!
Ismiaszkian simiaszkian	Pić, jeść,
Sywlychne Tora badyr	Zdrowia Tora daj!
Wylichran czirlichran	Bydłem zdrowém
Tołyjach karda	Napełnij dwory (obejścia)
Ymva karda	Końmi dwory
Iniaba karda	Krowami dwory
Sorychba karda	Owcami dwory.
Tora badyr	Tora daj
Karadan kil żołdan wysiasia kiliaggana iaras	Podróżnego z daleka przychodzącego, podróżą znużonego do domu przyjąć
Tora badyr tuduch	Tora daj zawsze.
Szaytaydan sirłach chuza tader Tora!	Od czarta zbaw wypędziwszy go o Tora!

Zdawca sprawy o dziele pani Fuks twierdzi, że powyższa modlitwa jest w zepsutém przez Czuwaszów tureckiém narzeczu, że ciż wyobrażenia religijne od jakiegoś tureckiego pokolenia przyjęli, co porównaniem wyrazów z obu języków stwierdza. Ostrzega oraz, że czytelnika to dziwić nie powinno, iż u Czuwaszów skandynawski główny bóg *Tora, Tor* figuruje, albowiem i *Edda* skandynawska twierdzi, że Normanowie cześć bogów od jakiegoś narodu przy brzegach morza Kaspijskiego przyjęli. Zawsze jednakże zastanowienia jest godném, że dotąd cześć *Tory* u Czuwaszów zachowała się, gdy przeciwnie u ich sąsiadów Czeremisów, fiński bóg *Juma*, a w trzecim spadku *Jumalian*, główną gra rolę. — Słowo to z-tąd na uwagę zasługuje, że od niego niemieckie »*Himmel*« pochodzić się zdaje.

Poczet bogów czeremiskich jest następujący, po czeremisku i po polsku:

Ilian Juma	Wielki bóg
Ilian Juman Abadża	Wielkiego boga matka
Ilian Juman piambar	Wielkiego boga prorok
Ilian Juman sakcza	Wielkiego boga anioł lub posłannik
Kugudżan Juma	Bóg cara
Kugudżan Juman Abadża	Matka boga carowego
Kugudżan Juman piambar.	Prorok carowego boga
Kugudżan Juman sakcza.	Anioł carowego boga
Kaba Juma	Pierwszy u boga święty
Kaban Juman Abadża	Matka pierwszego świętego.

Koban Juman sakcza	Anioł piérwszego u boga świętego.
Kiuna Juma	Bóg całego świata
Juman on	Duch bogów
Mordeż on	Duch wiatrów
Molanda Abadża	Ziemia matka
Kecza on	Duch słońca
Telcza on	Duch księżyca.
Szudiur on	Duch gwiazd
Miuksz on	Duch pszczół
Wiud on	Duch wód i t. d.

Pomimo wszelkiego naciągania trudnoby było znaleźć najmniejsze leksykograficzne podobieństwo między językiem czeremiskim a tureckiemi narzeczami. Jestto zupełnie inny język, na który nawet i tatarski żadnego nie wywarł wpływu. Ogólny typ języka bez wątpienia turecki, aleć wszystkie fińskie, mogolskie, mandżarskie i tureckie narzecza, przedstawiają jednaki typ ogólny, sąto języki, że tak się wyrażę, z jednéj rękodzielni.— Czytaliśmy modlitwę czuwaską, usłyszymy czeremiską, która posłuży za wzór języka, a oraz da nam pojęcie o moralnych wyobrażeniach tego narodu.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 34. i obejmuje: 1) Przez co można gospodarstwo wiejskie podnieść. 2) Jeszcze słówko o przemianie owsa w żyto. 3) Kilka słów o robieniu domowego cukru. 4) Wiadomości czasowe. 5) Literatura.

P. Felix Boczkowski, doktor medycyny i fizyk salinarny wielicki, ma wydać wkrótce dzieło: *O Wieliczce*, które oprócz topograficznego, statystycznego, geologicznego i mineralogicznego opisu, mieścić oraz będzie historyją tych sławnych żop i wspomnienie o zasłużonych nauką i urzędem Wieliczanach.

Z Wilna: *Rusałka na rok* 1841 wydana przez A. K. Grozę, mieści oprócz pisanych z talentem artykułów samego wydawcy, z ważniejszych: *O stanie literatury polskiej w obecnej chwili*, przez M. Grabowskiego. *Ustęp z pamiętników starego litewskiego szlachcica*, przez Henryka Rzewuskiego i t. p.— Z takiém upragnieniem oczekiwanych *Pielgrzymek do Ziemi Świętej* ks. Hołowińskiego, których będzie trzy tomy, tom pierwszy już się drukuje. — Donosiliśmy o *Mieszaninach wołyńskich* pseudonima Jarosza Bejły. Prawdziwym autorem tego z wielkiemi pochwałami zapowiedzianego dzieła, ma być pan Henryk Rzewuski, który oprócz tego ogłoszone dawniéj dzieło swoje: *Prawidła cywilizacyi narodów*, wyda teraz pod skromniejszym tytułem: *Próbek historycznych.*— Tom trzeci tak pożądanego przekładu Szekspira, wyjść ma do Nowego Roku. —P. Malinowski, który niegdyś zajmował się uzupełnieniem *Historyi literatury* Fel. Bentkowskiego i w tym celu podróż naukową do Petersburga odbył, osiadłszy teraz na wsi pod Wilnem, pracuje nad *Biografiją osób z dynastyi Jagiellońskiej na obcych tronach siedzących.*

Z Krakowa: Zejzner oprócz dzieła: *O Karpatach*, gotuje do druku dzieło: *O skamieniałościach w Polsce znajdowanych* i *Opis Wieliczki.*

Z Poznania. Nakładem Edwarda br. Raczyńskiego wyjdą *Poezyje* Bohdana Zaleskiego w dwóch tomach.

Daguerotyp księżycowy. Po wielu próbach powiodło się nareszcie profesorowi Cercolini w Sienie uzyskać obrazy daguerotypowe promieniami księżyca. Rysy tych obrazów są wprawdzie słabsze niż promieniami słońca uskutecznione, ale je przewyższają magicznością swojego oświetlenia.

Nowa podróż napowietrzna pana Green. Po długiéj przerwie puścił się nareszcie sławny pan Green, dnia 12. lipca b. r. w Vauxhall-Gardens w podróż napowietrzną. Żona jego i innych pięć osób siedziało razem z nim w *Nassawskim balonie*, który na wysokość 7000 stóp wzniósł się do góry. Żegluga ta powiodła się szczęśliwie, lubo z wielu trudnościami połączona była. P. Green spuścił się koło Dartford (w Kent) na koniczysko.

Zachowawczy wpływ zimna. Marynarze duńscy znaleźli na Szpicbergach ludzkie ciała, które przez lat trzydzieści świeżo i całkiem nieuszkodzone w lodzie się zachowały. Ryby i inne zimnéj krwi zwierzęta, choć nawet zamarznięte, żyć nie przestają. Mamy przykłady, iż tak zamarznięte ryby, że z nich lód siekierą odrąbywać było potrzeba, nad ogniem znowu do siebie przychodziły. Kapitan Franklin spomina o karpiu, który przez 36 godzin był zamarznięty, a gdy lód na nim odtajał, znowu pływał w wodzie. Nieraz okazało się, że sadzawki aż do dna zamarznięte, gdy odwilż nastała, bardzo mało ryb utraciły. Swiszcze, których z Sabaudyi w zimowym śnie do Paryża przysłano, przyszły tam znowu do siebie. W Rossyi rozsyłają po różnych okolicach zamarznięte ryby, które włożone w zimną wodę, odzyskują życie; i tak na targowicach rossyjskich ujrzysz nieraz zamarznięte węgorze. Na północy śród ostrych mrozów zdarza się często, że na pozór zmarznięci ludzie, po kilku dniach życie odzyskują.

Wykaz nowo-narodzonych i zmarłych w Paryżu. Od dnia 1go stycznia aż do końca lipca b. r. urodziło się w Paryżu 15,235 dzieci; 150 osób utraciło życie już przez samobójstwo już przez inne nadzwyczajne przypadki; 12,660 osób płci obojéj zwyczajną śmiercią umarło. Zaślubiono 4400 par.

Dzienny rozkaz Napoleona przeciw udręczeniu z miłości. Dzielny żołnierz pierwszéj kompanii gwardyi grenadyjerów, nazwiskiem Jerôme Gerdau zastrzelił się dnia 11go maja 1801 r., właśnie, gdy wojsko z zwycięzkiéj powróciło wyprawy, a to dla tego, że kochanka jego w czasie jego niebytności innemu oddała rękę. Z któregoto powodu ogłoszono gwardyi następujący: Rozkaz dzienny. *St. Cloud, d. 22. floreala, IX. roku rpltej* (13. *maja* 1801.) »Grenadyjer Gerdau zastrzelił się z powodu związków miłosnych. Był on zresztą walecznym żołnierzem. Jestto drugi wypadek tego rodzaju, który w wojsku w przeciągu jednego miesiąca się wydarzył. Piérwszy konzul nakazał w dziennym rozkazie ogłosić: Że każdy żołnierz w sercu swojem żal i smutek z miłości pokonać powinien; że znoszenie z stałością odręczeń duszy jest dowodem takiéj samej odwagi, jak dotrzymanie placu przed ogniem bateryi nieprzyjacielskiéj. Oddawać się bez oporu smutkowi, i odbierać sobie życie, ażeby go uniknąć, znaczy to samo, co umknąć z pola bitwy, zanim nas pokonano.« Podpis. Bouaparte.— Contrasygn. Bessières.« Dzienny rozkaz ten sprawił zamierzone wrażenie; gdyż od tego czasu nie wydarzyło się w wojsku żadne samobójstwo.

Manna tegoczesna. *Journal de Smyrne* donosi, że w Armenii tureckiéj spadła niedawno manna z deszczem. Miejskie władze w Wan przysłały ją Wysokiéj Porcie na próbę. Sąto ziarna siwéj barwy wielkości orzecha laskowego. Spadły one w takiém mnóstwie, iż na cztery cale wysoko szerokie pole okryły, i nadarzyły dla mieszkańców tamtejszych przez dni kilka wyborne pożywienie, gdyż z nich robili nadzwyczaj piękną,

białą mąkę, z której bardzo smaczny chleb piekli. Ażeby ten cud dawnych czasów jeszcze się nieraz ponowił i na inne okolice rozszerzył, jestto życzeniem ubogich we wszystkich krajach.

Uderzenie piorunu. W dzienniku *Revue de l'Ouest* czytamy: Proboszcz w Bretoux szczęśliwym tylko przypadkiem uniknął śmierci. Szedł on w czasie wielkiéj burzy przez obszerną płaszczyznę; rozpiął parasol i dążył sporym krokiem. Nagle uderza piorun z przeraźliwym hukiem w parasol i rozpościera się przed nogami jego w płomienie, nie spaliwszy bynajmniej parasola ani uszkodziwszy proboszcza, wyjąwszy tylko, że go na kilka chwil ogłuszył i oślepił.

Droga karawanowa z Kairu do Meki oznaczona po obu stronach kupami bielących się kości, przedstawia osobliwszy widok, który najżywszą ciekawość obudza. »Cóż to znaczy?« zapytałem przewodnika, a ten jadąc tuż przy mnie, opowiadał jak następuje: »Wielbłąd nie jest tak niespokojne i krnąbrne źwierzę jak koń. Jest on powolny, idzie spokojnie bez jadła, napoju i wytchnienia i wszelką pieczołowitość spuszcza zupełnie na swego przewodnika. Arab, który w oddaleniu słyszy ryk lwa lub rzenie konia, przekonywa się o stanie swego zwierza tylko po krótkim albo długim jego oddechu; lecz nigdy nie usłyszy jego jęku. A gdy zmęczony wielbłąd już daléj iść nie może, gdy poczuje, że w nim ostatnia iskra życia zagasa, wtedy pada na kolana i wyciągnąwszy szyję zamyka oczy— jestto znak niezawodny, że ginie. Cóż tu począć? Jeździec wiedząc o tém, że wielbłąd nigdy z gnuśności lub uporu nie klęka, nie stara się bynajmniej podźwignąć go na nogi, lecz zdejmuje siodło, kładzie na innego, a pierwszego na drodze pozostawia. W nocy zbiegają się szakale i hyjeny, które w sztuki go szarpią. Porozrzucane kości są skazówką dla późniejszych podróżnych, co się zdarzyło. Karawany z Kairu do Mekki ciągną rokrocznie cztery razy przez puszczę, a kości, które znachodzą po drodze, składają po obu stronach tak porządnie na kupy, iż te nawet burzom oprzeć się mogą. Są one dla podróżnego przewodnią do studzien i oazów, gdzie w chłodzie odpocząć i pragnienie swoje ugasić może. Ztém wszystkiém kości te nie sąto szczątki samych wielbłądów; mniejsze z nich sąto kości Moslemitów, którzy podług rozkazu proroka do Meki się puścili, lecz zatopieni w troskach tego świata wypełnienie swéj powinności, aż do schyłku swego życia zwlékali. Ci odwołani są z tego świata dla dokonania w niebie swéj pielgrzymki. Niejeden zasnął na wieki, który nie powinien był zamykać swoich oczu; niejeden spadł z siodła i kark złamał, a gdy do tych przypadków dodasz jeszcze febry, przerzedzające częstokroć karawany, i *Samum*, który również wiele pielgrzymów z świata zbiéra, łatwo sobie wytłumaczysz, zkąd powstał ten szereg kości, wskazujący dzieciom drogę, którą ich ojcowie chodzili.«

Syrena. Przy końcu miesiąca lutego, opowiada jeden z dzienników francuzkich, pojawił się w Rzymie Anglik, nazwiskiem Hodson, w zajezdnym domu przy *Porta del Popolo*, i ogłosił w *Diario di Roma*, że pokaże miastu rzadki i nadzwyczajny przedmiot, słowem syrenę. Wszyscy uczeni w Rzymie pospieszyli czémprędzéj do hotelu, w którym Hodson pokazywał to dziwo morskie, i co jest najszczególniejsze, każdy z nich został zdziwiony, gdyż Anglik dotrzymał zupełnie tego, co w obwieszczeniu zapowiedział! Powabna istota, na pół niewiasta a na pół ryba leżała w dość obszernéj kotlinie; na głowie miała długie czarne włosy, pomiędzy któremi rośliny morskie wyrastać się zdawały; twarz jéj była bardzo przyjemną i zupełnie regularną, na szyi zaś miała obróżę z łuski, a reszta ciała zakończona była rybim ogonem, który po wodzie pływał. Szczególniejsze stworzenie to było nieme, czasami tylko otwierało usta, jak gdyby coś przemówić chciało; lecz potém znowu w wodę się zanurzyło. Wyobrazić sobie można, iż widok ten sprawił w całym Rzymie wielkie wrażenie. Dom Miguel, książę Borghese, Don Sebastiano d'Alvar, grand hiszpański, kazali sobie osobno pokazywać to zwierzę, i przekonali się, że jest żywe i całkiem zdrowe. Lud rzymski podzielał ciekawość magnatów i cudzoziemców; ale zapał do wyższego jeszcze posuwał stopnia i chciał wniknąć w tajemne życie Zewolary, tak bowiem nazwał Hodson syrenę. Ztąd poszło, iż jeden z dozorców tegoż hotelu zakradł się do sali Anglika, i tam się ukrył. Niezadługo przyszedł Hodson, a dozorca spostrzegł, jak on pochwyciwszy biédną Zewolarę za włosy, wyciągnął z wody. Była ona całkiem zmoczona, a z oczów jéj puściły się łez strumienie; zaczęła chodzić po pokoju, a część rybia jéj ciała wlekła się za nią. Rzuciwszy się przed okrutnikiem na kolana, wołała wyraźnie i donośnie w języku angielskim: »Zlituj się, na miłość boską zlituj się nademną!« Dozorca nierozumiejący po angielsku, sądził, że syrena mówi językiem morskim. Lecz spostrzegł także, że Hodson zaczął bić biédną Zewolarę, poczém ta znowu zawołała: »Zlituj się, dla miłości Boga zlituj się, już będę posłuszną!« Dozorca nie mógł dłużéj wytrzymać tego widoku, i za oddaleniem się Anglika, umknąwszy z pokoju, opowiedział cały wypadek. Pogłoska ta rozeszła się wkrótce po mieście i zwróciła na siebie uwagę miejskiéj władzy. W tym zamiarze posłano doktora Amariti z zleceniem, aby rozpoznał to niby morskie stworzenie. Ten oświadczył, że mniemaną syreną jest uboga dziewczyna, mająca około dwudziestu lat, któréj rozum, z powodu złego obchodzenia się z nią, jest cokolwiek obłąkany. Ze śledztwa okazało się, że część rybia jéj ciała i obroża na szyi, czérwonym jedwabiem do skóry téj nieszczęśliwéj przyszyte były, a prócz tego spostrzeżono także sińce odbite na jéj ciele. W skutek tego uwięziono Hodsona, który w badaniu zeznał, że na brzegach Tamizy znalazł swoję syrenę i że dla pokazywania jéj za pieniądze przyszył do jéj skóry część rybią. Gdy sędzia zapytał dziéwczynę, czy Hodson ją przymusił do udawania téj smutnej roli, odrzekła: »Ja nie chcę więcej léźć w wodę; bo mnie tam bardzo zimno...« Wszyscy obecni wzdrygnęli się na tę odpowiedź, a sędzia zapytał znowu: »Dla czegożeś nie wzywała o pomoc ludzi, którzy przychodzili dla przypatrzenia się tobie? Powinnaś była krzyczeć i żalić się przed nimi.« — »Nie mogłam tego uczynić«, odrzekła dziewczyna, »bo gdym usta otworzyła, on pociągnął za sznurek...« — »Za jaki sznurek?« — Dziewczyna pokazawszy szyję, rzekła: »Tu był przymocowany sznurek rybią łuską pokryty. Skorom otworzyła usta, on natychmiast za sznurek ciągnął; gdybym była poważyła się wymówić słowo, byłby mnie w wodzie udusił.«— Okrutnego Anglika tego skazano na dożywotne więzienie. (Zdarzenie to przypomina nam podobny wypadek, umieszczony niedawno w tutejszym *Dzienniku mód*, że książę Adam Czartoryski z takiegoż samego położenia jednego z swoich ukraińskich włościan w Paryżu oswobodził).

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.